

EMIL ZOLA

ZGON

OLIWIERA

BECAILLE

Emil Zola

Zgon Oliwiera Becaille

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55842974

Zgon Oliwiera Becaille:

Аннотация

Oliwer Becaille zawsze był słabowitym, chorowitym dzieckiem. Z wiekiem to wcale nie minęło – mężczyzna nie dość, że często narzekał na zdrowie, to jeszcze żył w ciągłej świadomości czyhającej na niego śmierci. Gdy choroba zaatakowała po raz kolejny, walczył z nią trzy dni, po tym czasie żona znalazła go martwego. Młoda, kochająca kobieta załamała się zupełnie śmiercią męża i tylko dzięki pomocy sąsiadki udało się jej rozpocząć przygotowania do pogrzebu, przyjąć żałobę i zacząć przystosowywać do nowej rzeczywistości. Rzecz w tym, że całą historię opowiada sam Oliwer Becaille, który dziwnym sposobem, mimo tego, że lekarz stwierdził zgon, zachował świadomość i obserwuje wszystkie przygotowania do pochówku... Zgon Oliwiera Becaille to nowela autorstwa Emila Zoli, jednego z najwybitniejszych francuskich autorów francuskich drugiej połowy XIX wieku. Uznawany za najważniejszego prekursora naturalizmu w literaturze. Znany jest przede wszystkim z powieści takich jak Nana czy Germinal.

Содержание

I	4
II	13
Конец ознакомительного фрагмента.	16

Emil Zola

Zgon Oliwiera Becaille

I

Umarłem w sobotę o godzinie szóstej z rana, po trzydniowej chorobie. Biedna moja żona szukała czegoś od dłuższej chwili w kufrze z bielizną. Gdy się podniosła i zobaczyła, że leżę z otwartymi oczyma, bez tchu, zeszywniały, podbiegła, myśląc, że to zemdlenie, i nachyliwszy się nad moją twarzą, dotknęła moich rąk. Naraz strach ją ogarnął i tracąc głowę, jęknęła z łez wybuchem:

– Boże mój, Boże!... Umarł!...

Słyszałem wszystko najwyraźniej, tyle tylko, że stłumione dźwięki zdawały się mnie dolatywać jakby gdzieś z bardzo daleka. Jedyne lewym okiem mogłem jeszcze podchwycić blask niewyraźny, bladawe światło, w którym roztopiały się kształty przedmiotów, prawe me oko było zupełnie bezwładne. Było to omdlenie całego organizmu, jakby od porażenia piorunem. Wola ma zastygła, wszystkie fibry ciała wypowiedziały posłuszeństwo. W unicestwieniu tem prawie całej mojej istoty fizycznej jedna tylko myśl żyła jeszcze, snując się wolno i leniwie, choć z nieskazoną wyrazistością.

Moja biedna Małgorzata, padłszy na kolana przy łóżku,

powtarzała raz po raz rozdzierającym głosem:

– Nie żyje!... Boże mój!... Nie żyje!...

Byłże śmiercią w rzeczy samej ten stan dziwnego strętwienia, to pogrążenie ciała w bezruchu, gdy równocześnie inteligencja nie przestawała ani na chwilę funkcjonować!... A może dusza moja opóźniała się tylko w głębi czaszki, zanim i ona uleci. Podobne kryzysy nerwów nawiedzały mnie od dzieciństwa. Dwukrotnie, kiedy byłem jeszcze całkiem mały, napady ostrej gorączki omal nie pozbawiły mnie życia. To też otoczenie moje przyzwyczało się uważać mnie za dziecko słabowite i ja sam wyperswadowałem Małgorzacie sprowadzanie lekarza, kiedyś się uczułem zmuszonym położyć do łóżka zaraz z rana po naszym przyjeździe do Paryża, do tego hotelu przy ulicy Dauphiné. Trochę odpoczynku wystarczy; to znużenie podróży dało mi się nieco we znaki. Byłem jednakże pełen obaw. Opuściliśmy bowiem całkiem niespodzianie prowincję, z bardzo szczupłymi środkami, mając zaledwie o czym doczekać mojej pierwszej pensji za miesiąc w biurze, w którym otrzymałem miejsce. I oto nagle kryzys zabrała mnie ze świata.

Byłaż to śmierć naprawdę?... Wyobrażałem ją sobie w postaci nocy czarniejszej, głębszego, niżeli to, milczenia. Już od lat dziecięcych śmierć przejmowała mnie zawsze szczególnym strachem. Ponieważ byłem wątpliwy i ludzie mnie pieścili z jakimś odcieniem litości, myślałem więc ciągle, że długo nie pożyję i że wcześniej od niejednego powędruję na tamten świat. Nie byłem też nigdy w stanie oswoić się z lękiem, jakim mnie przejmowała

myśl o znalezieniu się w ziemi, chociaż myśl o tem nie opuszczała mnie w dzień ani w nocy. Wzrósłem z tą ideą fixe. Niekiedy, po kilku dniach rozmyślań, zdawało mi się, że przemogłem mą trwogę. Więc cóż stąd?... Umrze człowiek i skończona historia. Wszyscy przecie w końcu umrzeć muszą i trudno sobie nawet wystawić urządzenie dogodniejsze i lepsze. Poweselałem niemal, doszedłszy do tej konkluzji, dzięki której mogłem odtąd śmierci spoglądać prosto w twarz. W tem nagły dreszcz mnie mroził, zapędzając napowrót w jarzmo opętania, jakbym porwany ręką olbrzyma, zawisł nad czarną otchłanią. Przerażająca myśl o grobie wracała, obalając wszelkie rozumowania. Ileż to razy nocą, zbudziwszy się nagle, zrywałem się, nie mogąc sobie zdać sprawy, co za tajemniczy podmuch przeleciał we śnie nademną, łamiąc rozpaczliwie ręce i jęcząc: „Boże mój! Boże!... Więc muszę umrzeć?!...” Trwoga przytłaczała mi kamieniem piersi a nieuchronna konieczność zgonu nabierała jeszcze więcej ohydy w zamięcie ocknienia. Z trudem jedynie udawało mi się napowrót zasnąć, bo i sen przejmował mnie lękiem przez podobieństwo swoje do śmierci. Jeżeli zasnę kiedy na wieki?... Jeżeli, zamknąwszy oczy, nie otworzę ich już więcej?...

Nie wiem, czy inni ludzie przechodzą kiedy także podobne męki. Mnie one zatruwały życie. Pomiedzy mną, a wszystkim co kochałem, stała bez przerwy śmierć. Pamiętam chwile największego szczęścia, spędzone z Małgorzatą. Gdy w pierwszych miesiącach naszego pożycia spoczywała u mego boku uśpiona i kiedym, myśląc o niej, puszczał wodze rojeniom

o przyszłości, zawsze obawa fatalnego rozstania mąciła moje szczęście, burzyła wszelką nadzieję. Będziemy się musieli rozstać może już jutro?... za godzinę może... I ogarniało mnie niezmiernie zniechęcenie, w którym zapytywałem sam siebie, na co ten raj wóólnego życia, skoro musi się on kiedyś zakończyć rozbratem tak okrutnym?... Imaginacja moja poczęła się lubować w żałobnych obrazach. Kto też z nas pierwszy umrze?... ja, czy ona? I obie alternatywy łzy wyciskały z mych oczu, roztaczając przedemną dalsze obrazy naszych zwichniętych istnień. W najszczęśliwszych okresach mego życia miewałem z tego powodu napady nagłej melancholii, których ludzie nie mogli zrozumieć. Dziwili się wszyscy na widok mojej ponurej miny w chwilach, kiedy mnie spotkało coś przyjemnego. Powodem zaś tego była myśl o nicości, co nagle przemknęła przez mą radość. Straszliwe „po co?” dźwięczało bez ustanku, jak dzwon pogrzebowy, w moich uszach. Co jednak w podobnych udręczeniach jest najprzykrzejszem, to, że się z nimi człowiek porać musi w zawstydzającej tajemnicy, nie mając odwagi nikomu wyznać swojej męki. Nieraz z pewnością i męża i żonę, gdy zgasiwszy światło, spoczywają przy sobie, przejmie ten sam dreszcz, lecz ani jedno ni drugie nie wspomni o tem, ponieważ człowiek nie lubi mówić o śmierci, tak samo, jak nie wygłasza pewnych słów sprośnych. Wzbudza ona w nas taki strach, że nawet nie wspominamy jej imienia, kryjąc ją jak się ukrywa swą płeć.

Rozmyślałem obecnie nad temi wszystkimi rzeczami, a

moja droga Małgorzata nie przestawała ani na chwilę szlochać. Męczyło mnie to straszliwie, że nie mogę ukoić jej żalu, ani jej dać do poznania, że nie doświadczam żadnych fizycznych cierpień. Jeśliby śmierć nie miała być w rzeczy samej niczem więcej nad to omdlenie ciała, nie miałem doprawdy racji tak się jej bać całe życie. Stan to był pełen jakiejś samolubnej błogości i pokoju, wolny od wszelkiej troski. Nad wszystkimi innymi władzami mej duszy pamięć moja nabrała największej żywości. Błyskawicznie poczęła się przedemną przesuwając cała moja egzystencja, niby widowisko, któremu się przypatrywałem oczyma obcego. Dziwny ten i ciekawy stan bawił mnie. Rzekłbyś: głos daleki opowiada ci własne twoje dzieje.

Nawinęło mi się między innymi wspomnienie pewnego zakątka wiejskiego w pobliżu Guérande, na drodze z Piriac: laszek sosnowy, spuszcający się na skrócie drogi bezładnie po stokach skał. Mając lat siedm, chodziłem tam często z moim ojcem do wpółzwalonego domu, gdzieśmy się posilali naleśnikami u rodziców Małgorzaty, solarzy, utrzymujących się z ciężką biedą z pobliskich żup. Potem przypomniało mi się kolegium w Nantes, gdzie wzrósłem w nudzie starych murów, wśród ustawicznej tęsknoty za rozległym widnokregiem Guérandy, za słonemi bagnami, ciągnącemi się jak okiem sięgnął pod miastem, i za bezbrzeżnem morzem, rozesłanem w płaszczyznę bez końca u stóp niebios.

W tem miejscu czarna jama przerywała tok moich wspomnień: mój ojciec umarł. Dostawszy w administracyi

szpitala posadę urzędnika, rozpocząłem teraz monotony żywot, którego jedyne jasne chwile przypadały w niedzielę, w godzinach odwiedzin starego domostwa w Piriac. Interesa szły tam coraz gorzej, żupy solne przestały w końcu prawie zupełnie nieść dochód, okolica popadała w coraz straszniejszą nędzę. Małgorzata była wtenczas jeszcze dzieckiem. Lubiła mnie bardzo, ponieważ woziłem ją zawsze na taczkach. W kilka lat potem jednak, w dniu, w którym ją poprosiłem o jej rękę, ruch przełknięcia, jakim przyjęła te oświadczyzny, powinien mnie być oświecić, że się jej wydawałem wstrętnym. Rodzice wszakże oddali mi ją bez wahania, gdyż uwalniało ich to od kłopotów. Przez dziecięcą uległość nie sprzeciwiła się ich woli, a oswoiwszy się raz z myślą wyjścia za mnie, zdaje się, że przestała się tem nawet martwić. W dniu naszego ślubu w Guérande łało, pamiętam, jak z cebra, tak, że za powrotem do domu Małgorzata musiała zamienić ślubną toaletę na zwykłą sukienkę, tak zmokła.

Oto cała ma młodość. Czas jakiś żyliśmy w tamtych stronach. Raz jednak, wróciwszy z biura do domu, przyłapałem mą żonę na rzewnym płaczu. Nudziło jej się tam, chciała, abyśmy się przenieśli gdzieindziej. W pół roku zaoszczędziłem po groszu niewielką kwotę przy pomocy prac nadobowiązkowych. Ponieważ jeden z dawnych przyjaciół mej rodziny zajął się wyszukaniem mi miejsca w Paryżu, zawiozłem tam drogą dziecinę moją, by więcej nie miała powodu do płaczu. W pociągu kolejowym śmiała się już. Za nadejściem nocy wziąłem ją na kolana, aby jej było miękko spać, bo ławki w trzeciej klasie są

twarde!

Wszystko to należało obecnie do przeszłości. W tej chwili bowiem byłem już oto tylko nieboszczykiem, zmarłym w ciasnym hotelowym łóżku, podczas kiedy ma żona, ukłękłszy na podłodze, biadała nad moją śmiercią wśród łkań. Biała plama, którą dostrzegało lewe moje oko, bladła stopniowo; pamiętałem jednak dokładnie rozkład pokoju: po lewej komoda, po prawej kominek, na środku którego rozbity zegar bez wahadła wskazywał godzinę dziesiątą minut sześć. Okno wychodziło na ulicę Dauphiné, głęboką i czarną. Cały Paryż przewalał się na nią i to wśród takiego zgiełku, żem słyszał, jak od niego szyby brzęczą.

Nie znaliśmy w Paryżu oboje ani żywej duszy. Ponieważ przyspieszyliśmy nasz przyjazd, oczekiwano mnie więc w mem biurze dopiero w najbliższy poniedziałek. Odkąd leżałem w łóżku, szczególne wrażenie wzbudzało we mnie to uwięzienie w nieznanym pokoju, do którego wtrąciła nas podróż, oszołomionych jeszcze piętnastoma godzinami jazdy kolejowej, otumanionych zgiełkiem ulicznym. Żona moja pielegnowała mnie z tym samym co zawsze uśmiechem dobroci; czułem jednak aż nazbyt dobrze, jak bardzo musiała być stroskana. Od czasu do czasu podchodziła ku oknu, aby wyrzec na ulicę, poczem wracała wybladła, przerażona ogromem tego Paryża, w którym nie znała ani jednej cegiełki, a który huczał dokoła nas tak straszliwie. Co ona pocznie, jeśli się nie obudzę?... Co się z nią stanie w tem olbrzymiem mieście, samą, bez żadnej opieki,

nieświadomą niczego?...

Ujawszy jedną z rąk moich, bezwładnie z brzegu łóżka zwisłą, poczęła ją całować, powtarzając jakby w obłędzie:

– Oliwierze!... Odezwiż się!... Mój Boże!... Umarł!... umarł!...

Jednakże śmierć nie jest nicością zupełną, pomyślałem, skoro byłem w stanie słyszeć i rozumować. A tylko nicość przerażała mnie od dzieciństwa. Nie byłem nigdy w stanie wyobrazić sobie całkowite zniknięcie mego ja, kompletne unicestwienie tego, czym jestem, i to na zawsze, na wieki wieków, z wykluczeniem powtórnej kiedykolwiek egzystencji. Dreszcz mnie nieraz przebiegał, kiedym napotkał w jakiej gazecie jedną z dat przyszłych najbliższego stulecia i pomyślał: Nie będzie mnie już z pewnością podówczas przy życiu; a ów rok przyszłości, której nie obaczę, w której nie będę już istniał, ranił mnie w samo serce. Czemuż nie jestem światem całym!... i czemu nie runie wszystko po mem odejściu!

Śnić o życiu, spoczywając w uścisku śmierci, oto czego się zawsze spodziewałem. Ale stan, w jakim się znajdowałem obecnie, nie był przecie śmiercią. Przebudzę się z niego z pewnością lada chwila. Tak jest, tylko patrzeć, jak się podniosę na mem pośłaniu i ściskając w ramionach Małgorzatę, otrę jej łzy. Jakaż to będzie radość odzyskać się wzajem i o ileż silniej będziem się potem kochać!... Odpocznę jeszcze ze dwa dni, a potem pójdę do biura. Nowe życie potoczy się ku nam, szersze, szczęśliwsze. Lecz mi się z tem nie spieszyło. Zbyt byłem na

razie przygnębiony. Małgorzata źle jednak czyniła, oddając się takiej rozpacz, dlatego tylko, że nie mam dość sił, by zwrócić do niej na poduszce głowę i uśmiechnąć się. Jeżeli się odezwie raz jeszcze: – „Umarł! o Boże mój! umarł!...” – przytulę ją do siebie i aby jej nie przestraszać, szepnę jej w uszko cichutko:

– Ależ nie, moje dziecko, ja tylko spałem. Widzisz przecie, że żyję i że cię kocham jak dawniej.

II

Na nieustanny płacz Małgorzaty drzwi się naraz roztwarły i jakiś głos zawołał:

– Cóż się takiego stało, pani sąsiadko?... Pewnie nowa kryzys! ... Czy zgadłam?

Poznałem głos. Należał on do pani Gabin, niemłodej już kobiety, mieszkającej obok nas. Okazywała nam ona dużo uprzejmości od samego przyjazdu, wzruszona naszym położeniem. Opowiedziała nam zaraz całą swoją historię: nieużyty właściciel domu sprzedał jej meble tamtej zimy i odtąd mieszkała w hotelu razem z dziesięcioletnią córeczką Adelą. Wycinały obiedwie abażury, zarabiając do czterdziestu sousów dziennie na tej robocie, i z tego żyły.

– Boże! spytała naraz zmienionym głosem – czyżby to już było po wszystkim?...

Domyśliłem się, że się musiała do łóżka przybliżyć. Popatrzywszy zapewne na mnie, dotknąwszy mnie, dodała z współczuciem:

– Moje biedne dziecko!... moje biedne!...

Małgorzata wyczerpana, szlochała istotnie jak dziecko. Pani Gabin podniosła ją więc i posadziła w kulawym fotelu, stojącym obok kominka, poczem jak tylko mogła, próbowała ją tulić i pocieszać.

– Kiedy bo naprawdę... zaszkodzi pani sobie... Dlatego,

że mąż umarł, nie potrzebuje pani przecie samą siebie także uśmiercać... Prawda!... Straciwszy mego Gabina, desperowałam tak samo jak pani, trzy dni nie wzięłam nic w usta!... Lecz czy mi to co pomogło?... Przeciwnie, zwiększało tylko mój ból... Ależ na miłość boską!... bądźże pani rozsądną!

...

Małgorzata poczęła się zwolna uspokajać, aż i ucichła. Była bez sił. Od czasu do czasu jednak porywał ją nowy paroksyzm łez. Tymczasem staruszka zaokupowała pokój z gderliwą obcesowością.

– Nie potrzebuje się pani o nic troszczyć... – powtarzała w kółko. – Moja Dédé wróci niebawem, poszła właśnie po robotę... A potem sąsiedzi powinni się wzajemnie wspomagać... Czy pani już swoje kufry ze wszystkim rozpakowała?... Ale jakaś bielizna będzie jeszcze w komodzie?...

Usłyszałem, jak otworzyła szufladę. Musiała wyjąć serwetę, którą przykryła *nachtkastlik*. Następnie usłyszałem pocieranie zapalki, co mnie naprowadziło na myśl, że zapala przy mojem łóżku, w braku woskowej, świecę z kominka. Towarzyszyłem słuchem i myślą każdemu jej poruszeniu i zdawałem sobie sprawę z każdej jej czynności.

– Biedny pan! – lamentowała. – Ale to szczęście, że usłyszała pani płacz, kochana pani.

Naraz niewyraźne światelko, jakie dostrzegałem jeszcze do tej chwili lewem mem okiem – znikło. To pani Gabin zawarła mi powieki. Nie czułem jednak dotknięcia jej palców. Kiedym

sobie z tych szczegółów zdał sprawę, zaczął mnie przejmować lekki mróz.

Wtem drzwi się otwarły i dziesięcioletnia psotnica Dédé wpadła, krzycząc fletowym głosem:

– Mamo! Mamusiu!... Ach! ja wiedziałam, że mama jest tu... Masz! oto rachunek: trzy franki cztery sous... Przynoszę dwadzieścia tuzinów abażurów...

– Pst!... cicho!... – uciszała ją matka daremnie.

A ponieważ bęben nie przestawał świergotać, wskazała jej zapewne moje łóżko. Wówczas Dédé umilkła. Odczułem jej przestrach; domyśliłem się, że cofa się pewno ku drzwiom.

– Czy pan śpi? – zapytała cichutko.

– Tak jest, idź się bawić – odpowiedziała pani Gabin.

Lecz dziecko pozostało w pokoju. Patrzyła pewno na mnie wytrzeszczonymi oczyma, przeleżała, domyślając się, jak przez mgłę. Wtem strach szalony musiał ją ogarnąć, bo obalając krzesło po drodze – uciekła z krzykiem:

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.